

NIEZNANY ROMANS ZUZANNY GINCZANKI I STANA SELICHA

Część 1

Zamiast wstępu

Jest to rekonstrukcja ostatnich dni przyjaźni Zuzanny Ginczanki i Stana Selicha powstała na podstawie zachowanych fragmentów jego zapisków. Poeta, dziś całkowicie zapomniany, był w okresie dwudziestolecia międzywojennego ważnym uczestnikiem życia kulturalnego. Przyjaźnił się m.in. z Witoldem Gombrowiczem, Jerzym Andrzejewskim, Władysławem Broniewskim, Czesławem Miłoszem, Jarosławem Iwaszkiewiczem i Zuzanną Ginczanką. W tej ostatniej również kochał się, można przypuszczać, że z wzajemnością. Nawiasem mówiąc szalało za nią wielu pisarzy i poetów. Życie i twórczość Stana (Stanisława) Selicha, literata z pokolenia Gombrowicza, zna tylko wąskie grono specjalistów zajmujących się historią literatury. W latach trzydziestych wydał dobrze przyjęty tomik poezji i nagrodzony przez „Wiadomości Literackie” tom opowiadań. Nikt natomiast nie miał okazji poznać jego dzienników. Przeleżały po wojnie ponad siedemdziesiąt lat w zawilgoconych archiwach byłego Zakładu im. Ossolińskich we Lwowie. Nie wiadomo, jak tam trafiły. Po II wojnie światowej polską część zbiorów Ossolineum przewieziono do pojezuickiego kościoła św. Piotra i Pawła, a w 2011 roku bezładnie przerzucono do magazynów przy ul. Lotniczej 1 we Lwowie. Dzięki szlachetnym ludziom dotarłem tam szukając innych dokumentów i przypadkowo natrafiłem na dwa podniszczone zeszyty memuarów poety.

1.

Zbliżał się koniec wakacji 1939 roku. Stan tęsknił za Zuzanną, która w końcu czerwca wyjechała z Warszawy do Równego, gdzie przebywała w domu rodzinnym u babci Klary. W sobotę, 26 sierpnia, na dzień przed wizytą u Iwaszkiewiczów w Stawisku, Zuzanna pojawiła się w stolicy. Stanisław odebrał ją z nowego Dworca Głównego u zbiegu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Przywitali się pocałunkiem w usta i czule się objęli. Spotkanie u Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów zaplanowane zostało na ostatnią niedzielę sierpnia. Jak miało się wkrótce okazać była to ostatnia niedziela przed wybuchem wojny.

Dzień ów był pogodny. Po niebie leniwie sunęły pojedyncze białe obłoki, które wyglądały, jak wyjęte z obrazów Canaletta. „Czuło się, że w powietrzu wisiała melancholia czegoś przedziwnego, co nieuchronnie miało przeminąć” – napisał po latach w *Alei przyjaciół* Jarosław Iwaszkiewicz. Na obiad zaproszeni zostali także Tonio Sobański, Czesław Miłosz, Wanda Telakowska, Stanisław Baliński i Staszek Piętaś. Ten ostatni oraz Ginczanka i Selich znaleźli się w stawiskiej posiadłości po raz pierwszy. Po wystawnym obiedzie składającym się z wielu dań i przystawek, Jarosław z Anną poprowadzili gości do salonu, w którym stał fortepian. Baliński zasiadł do niego i od razu zaczął grać ze swobodą wirtuoza jedno shimmy po drugim.

- Ależ ten szelma potrafi grać – Jarosław dzielił się zachwytem z najbliższym siedzącym obok niego Miłoszem. Mówił na tyle głośno, że wszyscy go słyszeli.

- Lubię dobrą muzykę, ale powiem ci szczerze, że nie doznaję z jej powodu takich wzruszeń, jak inni – przyznał bez skrępowania Czesław. – Ona nie skręca mi rozkosznie flaków, jak na przykład tobie... – zaśmiał się rubasznie, po czym nie mogąc się opanować, długo jeszcze dusił się ze śmiechu.

- Posłuchaj... – Iwaszkiewicz udał, że nie zauważył nietaktownego zachowania młodszego przyjaciela. – Słuchaj uważnie... – zrobił pauzę, by wybrzmiała fraza – jak on

z tych banalnych melodii wydobywa głębię dźwięków, jakby wyblakłe makatki przemieniał w kolorowe akwarele. Genialny... – rozplątywał się w zachwycie. – Szkoda, że nie został pianistą.

Rozmowie przysłuchiwali się Stan i Zuzanna, najmłodsza i bez wątpienia najpiękniejsza gwiazda polskiej poezji ostatnich lat. Ceniona, lubiana, pełna dziewczęcej gracji i zarazem – co mogło wydawać się niezrozumiałe – dojrzałego kobiecego uroku. Na kształtnej głowie upinała z tyłu czarne grube włosy nie chcąc ich eksponować. Twarz miała lekko pociągłą, cerę bursztynową, na jej tle lśniły równe zęby. Uśmiech był jej wielkim atutem, zdobywała nim zwolenników i uwodziła mężczyzn.

Stan nie miał gładkiej urody amanta, jednak uważano go za przystojnego. Miał jasno brązowe włosy, regularne rysy twarzy i niewielkie zakola, które dodawały mu dojrzałości. Zielone oczy pod czarnymi brwiami, osadzone w ciemnych oczodołach, były intrygujące. Przed poznaniem Zuzanny nigdy nie był zakochany. Oczywiście przeżył parę miłości, lecz żadna z nich głębiej go nie poruszyła. Być może miał zaniżoną ocenę własnej wartości, która pogłębiała się w chwilach, kiedy czuł się wyjałowiony wewnątrz. Nie mógł zrozumieć dlaczego wciąż nie znalazł stałej partnerki, podczas gdy niemal wszyscy jego koledzy pozakładali rodziny. Z wyjątkiem tych, którzy ze zrozumiałych względów nie mieli tego zamiaru czynić, jak na przykład Witek Gombrowicz. Selich nie miał stałej posady gwarantującej życiową stabilizację, jednak nie narzekał na brak pieniędzy. Ostatnio utrzymywał się ze stypendium Funduszu Kultury Narodowej w wysokości 138 zł miesięcznie i miał pół roku na napisanie pracy dotyczącej katastrofizmu w twórczości Leopolda Staffa (za którą zabierał się jak pies do jeża). Ponadto otrzymywał nieregularne honoraria za publikacje wierszy i artykułów.

Przy akompaniamencie fortepianu trwały ożywione rozmowy.

- Masz świętą rację, on gra wybornie – Stan zwrócił się do Iwaszkiewicza. – Stylem przypomina mi trochę grę mojego wuja Anastazego. Słyszałem go kilka razy. Ponoć akompaniował Nulli Szymanowskiej, w której się podkochiwał... – spojrzał na Jarosława czekając na aprobatę.

- Nie mylisz się. Pamiętam go z jednej wizyty u nas w Elizawetgradzie. Nulla, jak wiesz, pięknie śpiewała, choć nie zrobiła kariery...

- Anastazy też. Zgubiły go karty i wódka.

- Dość typowe polskie kariery zdolnych młodzieńców o słabych charakterach... – westchnął ze współczuciem Iwaszkiewicz.

- I słabych głowach – zaśmiał się Stan, a wraz z nim Jarosław i Czesław.

- W Elizawetgradzie miał nas wtedy odwiedzić Karol, ale nie pamiętam już, dlaczego się nie pojawił. Co do Anastazego..., trzykrotnie go słyszałem i rzeczywiście miał talent do lekkiego repertuaru. Poza tym był szalenie ujmującym, wesołym chłopcem, naprawdę szkoda go...

- Miałem chyba siedemnaście lat, gdy słyszałem go ostatni raz w Podhajcach, wówczas to wbiła mi się w pamięć jego techniczna biegłość.

- Nie przepadam za gdybaniem, ale raz na jakiś czas mogę sobie w tej mierze pofolgować, nie uważasz?... – zadał retoryczne pytanie i nie czekając na odpowiedź kontynuował. – Otóż gdyby Anastazy ożenił się z Nullą, bylibyśmy krewnymi – uśmiechnął się Iwaszkiewicz.

- Nie chciałem tego mówić, ale skoro wywołałeś temat, to powiem ci, że chyba nimi jesteśmy – rzekł lekko podekscytowany Stan.

Jarosław zmarszczył brwi, co jeszcze bardziej podkreślało jego wschodnie skośne oczy; był wyraźnie zainteresowany tą nowiną.

- Tu mnie ustrzeliłeś – rzekł bezpretensjonalnie. – Mów, mów mi zaraz, co ty tam za asa trzymasz w rękawie. Mniemam, że masz jakieś rodowe tajemnice?...

- To jest moje przypuszczenie. Sądzę, że niemal pewne – podsycił ciekawość Stan.
 - Nie daj się prosić, gadaj żywo... – Jarosław zatarł dłonie.
 - Otóż moja babka nosiła panięskie nazwisko Piątkowska, Aniela Piątkowska, rozumiesz.... Tak samo, jak twoja. One były kuzynkami.
 - Rzeczywiście, babcia ze strony mamy wyszła za mąż za Onufrego Piątkowskiego. Zdawało mi się, że znam wszystkie rodzinne koligacje, ale jak się okazuje, niezupełnie. Zaraz, zaraz, Aniela... Czy ona nie była spokrewniona z Czekiernskimi i Taubami?
 - Te nazwiska przewijały się w naszej rodzinie.
 - Są to nazwiska powiązane z rodziną Szymanowskiego. Rozumiesz! Jesteśmy więc antenatami.
- Zuzanna przysłuchiwała się ich rozmowie.
- Słyszałam, że łączą was jakieś dalekie więzy rodzinne? Gdyby tak dobrze pogrzebać, to mogłoby się okazać, że i moja rodzina jest spokrewniona z waszymi – zażartowała.
 - Wszystko jest możliwe, pochodzimy przecież od Adama i Ewy – uśmiechnął się Jarosław.
 - Wyobraźcie sobie..., niedawno odkryłam w starych domowych szpargałach informację, że mam rodzinę we Francji, która nosi nazwisko Gainsbourg, a pierwotnie brzmiało Gincburg.
 - Potomek tej rodziny zostanie kiedyś słynnym kompozytorem – wystrzelił znieacka Stanisław.
- Zuzanna i Jarosław spojrzeli na niego z zaciekawieniem.
- To tak a propos muzyki, o której była mowa... – zmieszał się Selich.
 - Stan, znowu masz jakąś wizję? – zaniepokoiła się Gina.
 - Za parę dekad – nie zwracał uwagi na jej słowa – Gainsbourg, który teraz jest dzieckiem, będzie znanym kompozytorem światowych szlagierów – zamyślił się głęboko. – Stop – nagle przerwał. – Za dużo gadam.
 - Obiecuj, że kiedyś mi o tym powiesz więcej – poprosiła.
 - Nie mogę ci obiecać – przekomarzał się. – Chyba, że mi pokażesz te stare dokumenty, gdy będziemy w Równem.
 - Nigdy tam nie byłem – wtrącił się Jarosław. – Chociaż Janek Śpiewak zapraszał mnie do siebie.
 - Mamy więc wspólnego znajomego w moim mieście – ucieszyła się Ginczanka.
 - No proszę. Jak się w końcu tam wybiorę, to we trójkę pójdziemy na wino.
 - Może we czwórkę? – Stan objął Zuzannę i pocałował ją w policzek. – W Równem poznaliśmy się.
 - Oczywiście, że we czwórkę – poprawił się Iwaszkiewicz klepiąc Selicha po barku. – A nawet w piątkę, bo Józek Łobodowski odbywa w tamtejszej podchorążówce służbę.

2.

Sierpień 1934 roku był upalny. Stan przyjechał do Równego na polecenie redaktora Jerzego Giedrojcia z dwutygodnika „Bunt Młodych”, aby przeprowadzić wywiad z pisarką Ewą Szelburg. Umówił się z nią korespondencyjnie na kilka sesji. Przy tej okazji w niedzielę odwiedził znajomego poetę, Janka Śpiewaka, którego poznał kiedyś w redakcji „Roju”. Przed przyjazdem przysłał mu list informujący o celu podróży. W mieszkaniu Janka zastał w mundurze Łobodowskiego. „Ten Iwacha zawsze jest na bieżąco...” – pomyślał z uznaniem o Jarosławie, gdy zobaczył Józka.

- No to mamy letni zjazd poetów na zatyłku kraju – skomentował wesoło Janek.
- Gdzie psy dupami szczekają – uzupełnił Łobodowski.

- Trochę przesadziłeś, żołnierzyku – obruszył się Śpiewak. – Ja maznąłem pędzelkiem, a ty chlapanąłeś szczotką malarza pokojowego. Nie dziwię się jednak, bo wiem, że wojsko skutecznie tłumi subtelności.

- Swoją drogą nie jest tu nudno? – Stan zmienił temat, by w zarodku rozładować napięcie.

- Nie będziesz się nudził, zapewniam. Czeka was przyjemna niespodzianka...
Wzięliście kąpielówki, jak wam napisałem?

- Jakieś wojskowe gatki mam... – powiedział wstydliwie Józek.

- Bez troków? – zaśmiał się Stan.

- Troki są na Litwie i przy kalesonach, luzacki cywilu – zaprotestował Łobodowski. – Mam kąpielówki wojskowe zgodne z regulaminem.

- Co to za niespodzianka? – zaciekawił się Selich.

- Cierpliwości.

W Równem było kilka dużych stawów, na jednym z nich utworzono trzy baseny kąpielowe rozdzielone drewnianymi pomostami. Każda pływalnia miała swoją plażę.

Trzej poeci udali się nad wodę. Na największej pływalni kłębił się kolorowy tłum.

- No, gdzie jest ta twoja niespodzianka? – niecierpliwił się Józek.

- Rozglądaj się za najładniejszą dziewczyną – odrzekł Janek.

Zgodnie z poleceniem Józek i Stan szukali najładniejszej panny. Bezskutecznie. W pewnym momencie Śpiewak dostrzegł na pomoście trójkę dziewczyn, wśród których była Zuzanna Ginczanka. Jej smągła postać wyróżniała się na tle dwóch koleżanek o jaśniejszej karnacji. Zuzanna miała na sobie dobrze dopasowany ciemnogranatowy kostium kąpielowy w białe groszki. Przy koleżankach, Blumce Fradis i Lali Tomilin, prezentowała się uroczo. Rozpoznawszy z daleka jej znajomą sylwetkę, Janek Śpiewak pozdrowił ją machając ręką. Ginczanka zauważywszy go odpowiedziała takim samym gestem.

- To ta bursztynowa nimfa, która ci pomachała górną kończyną? – zażartował Józek, któremu z ciekawości iskrzyły się oczy.

- Chciałbyś, żeby pomachała dolną? – zaśmiał się Janek. – Tak, to ona, Zuza Ginczanka, a te dziewczyny obok niej są koleżankami z klasy – objaśnił szeptem, gdyż byli już blisko pomostu, na którym stały.

- O raju, przecież znam jej nazwisko z poprzedniego numeru „Wiadomości...”. Otrzymała nagrodę w konkursie poetyckim – zakrzyknął Stan. – To ona jest jeszcze uczennicą? – nie mógł uwierzyć.

- Już się w niej zakochałem – stwierdził Józek. – Cóż za cud natury... W dodatku poetka...

Stan pomyślał podobnie, jednak się nie odezwał, by nie powiełać zachwytu Łobodowskiego.

Poeci podeszli do dziewczyn wymieniając uprzejmości.

- Mówiłeś, że poznam twojego znajomego – Zuzanna zwróciła się do Janka – a tymczasem przedstawiasz mi dwóch... – uśmiechnęła się uroczo zezując w stronę Stanisława.

- Już po naszej rozmowie otrzymałem list od Stana, że przyjeżdża robić wywiad z Ewą Szelburg – wyjaśnił nieco oficjalnym tonem. – Mamy więc niespodziewany najazd poetów na nasze miasto.

- Gdzie psy du... – Józek urwał w pół zdania i głupio się zaśmiał.

Śpiewak i Selich spojrzeli na niego gromiąco.

- Fantastycznie! – krzyknęła zachwycona Zuzanna nie zwracając uwagi na słowa Józka. – Pani Szelburg jest przecież żoną naszego dyrektora liceum.

- Świetnie się składa. Mam nadzieję, że pomoże mi pani w uzyskaniu paru dodatkowych informacji o pisarce – Stanisław spontanicznie rzucił jej propozycję.

- Nie bardzo wiem jak... – skonfundowała się. – I czy w ogóle mogę.

- Właśnie, właśnie... – stanął po jej stronie Józek.

- Tu nie trzeba żadnej zgody. Z pewnością widuje pani pisarkę, gdy odwiedza w szkole męża? Zresztą nawet nie wiem, czy go odwiedza...

- Dosyć często przychodzi – wtrąciła się Blumka.

- Świetnie się składa. Nie chodzi mi o zdradę jakichś tajemnic, ale o wycinek tła, na którym przedstawię bohaterkę wywiadu. Dzięki takim zwykłym, a dla mnie cennym informacjom, mogę zbudować z drobnych elementów mozaikę codziennego dnia pisarki znacznie szybciej, niż gdybym robił to sam. Rozumie pani moją intencję, panno Zuzanno? – popatrzył jej prosto w oczy. Zauważył przy tym, że ciemne źrenice miała nieznacznie różniące się od siebie barwą.

- Proszę mi mówić Zuzą, albo Gina – powiedziała trochę stremowana, po czym dodała: – W takim razie..., jeśli nic mi nie grozi, chętnie panu pomogę.

- Może bez „pana”... – zaproponował Stan.

- Oczywiście, chętnie panu... – poprawiła się – chętnie ci pomogę.

Blumka i Lala znudzone, że zainteresowanie mężczyzn koncentrowało się wyłącznie na Zuzannie, ukłoniły się i dyskretnie opuściły towarzystwo. Gina zaaferowana rozmową, nie dostrzegła ich odejścia.

- Zuzą, chciałem ci pogratulować nagrody w konkursie na wiersz – włączył się do rozmowy Józek. – Znakomity debiut.

- Wyróżnienia – poprawiła go.

- To też jest rodzaj nagrody – włączył się Selich.

- Dla mnie jest to coś niesamowitego, tak się cieszę – podskoczyła z radości. – I co za zbieg okoliczności; kilka dni temu dowiedziałam się o tym... i właśnie w takiej chwili odwiedzają mnie najprawdziwsi poeci... – zaklaskała w dłonie.

- Czyli poza nami, najprawdziwszymi, są jeszcze poeci prawdziwi i nieprawdziwi? – zażartował Śpiewak.

- Oj, Janku, przestań – Zuzanna klepnęła go w przedramię – nie deprymuj mnie w towarzystwie. Cieszę się, że będę mogła z wami pogadać, znaczy porozmawiać o poezji, o życiu literackim stolicy, o... o... o wszystkim, co mnie pasjonuje.

Zuzanna dostrzegłszy brak koleżanek, przeprosiła mężczyzn i udała się pośpiesznie w ich poszukiwaniu.

- No i jak niespodzianka? – Janek zwrócił się do przyjaciół.

- Czarująca – odezwał się Stan.

- Muszę koniecznie się z nią umówić – rzekł zdecydowanym tonem Józek. – Ile ma lat?

- Zbyt mało, byś ją bałamucił, ale wystarczająco dużo, żeby dobrze czuć poezję i ... – powiedział wymijająco Janek.

- Nie ma jeszcze osiemnastu wiosen? – zaciekał się Stan.

- Jest rok przed maturą – rzekł Jan. – Więc przestrzegam was panowie, a szczególnie ciebie, Józek, stary podrywaczu. Zresztą ona należy do osób... jakby to wam powiedzieć... – szukał odpowiedniego słowa – uduchowionych.

- Czyli ma naturę poetki – skostatował entuzjastycznie Łobodowski.

Zuzanna po chwili nieobecności wróciła nie odnalazszy koleżanek, które najprawdopodobniej opuściły pływalinię. Była niezadowolona, bowiem obawiała się, że Blumka i Lala mogły się na nią obrazić. Wiedziała, że nie czuły się komfortowo w sytuacji, gdy trzech mężczyzn adorowali wyłącznie ją.

- Pójdę już – zadecydowała Zuzanna.

- Zostań jeszcze, proszę – Stan próbował ją przekonać. – Przecież nawet nie popływaliś. Nie mówiąc już o dłuższej rozmowie.

- Idę. Nie mogę pozwolić sobie, abym stała się dla moich najlepszych koleżanek powodem jakichkolwiek nieporozumień.

- Odprowadzę cię – zareagował błyskawicznie Józek.

- No to idziemy wszyscy – zdecydował Janek.

Nazajutrz, zgodnie ze swoim planem, Stanisław od rana rozmawiał z Ewą Szelburg. Po południu wałęsał się po mieście podziwiając kresową drewnianą architekturę i obserwując miejscową ludność. Wieczorem umówił się z Jankiem i Józkiem w kawiarni „Malwa” w centrum miasta. Łobodowski nie pojawił się. Okazało się, że poszedł do domu Zuzanny.

- Skąd wiesz? – zapytał podenerwowany Stan.

- Od niego – stwierdził Śpiewak. – Dzisiaj rano, idąc do niej ponownie, wpadł do mnie na chwilę. Wczoraj, gdy odprowadziliśmy ją pod dom i potem rozeszliśmy się, on po chwili wrócił do niej.

- Spryciarz.

- Zaprosiła go do domu. Siedział do późnego wieczora, aż go babka przepędziła.

- Nie rozumiem, jak można tak swobodnie wychodzić z koszar? Gdy byłem we włodzimierskiej podchorążówce, mieliśmy znacznie surowszą dyscyplinę. O ile pamiętam, ty też służyłeś w tutejszym pułku?

- Tu jest chyba luźniej, niż we Włodzimierzu. Zresztą wiesz, że podchorążowie z cenzusem byli zawsze łagodniej traktowani, niż żołnierze z poboru.

Kelnerka przyniosła im zamówione kawy. Rozmowa zeszła na Ginczanę.

- Ona mi się podoba – rzekł z przekonaniem Stan.

- Zmartwię cię, ona podoba się wszystkim chłopakom. A Józek ma chyba wobec niej jakieś zamiary... Aha – Janek coś sobie przypomniał – późnym wieczorem, po wyjściu od niej Józka, zadzwoniła do mnie.

- Od tego trzeba było zacząć... – ucieszył się Stan.

- Niestety Zuza jest pod wrażeniem...

- ...Łobodowskiego?

- Na szczęście nie. Tylko jego poezji. Powiedziałem jej, że będziemy w „Malwie” i że czekamy na nią. Nie odpowiedziała ani „tak”, ani „nie”.

- Teraz, gdy ma spotkanie autorskie z poetą potrafiącym wywierać wrażenie na dziewczynach, trudno jej się będzie uwolnić – rzekł zasmucony Stan.

W dalszym ciągu rozmowy Janek opowiadał o grupie poetyckiej „Wołyń” założonej przez Czesława Janczarskiego, do której należał m.in. on i Zuzanna. Nadmienił też o jej korespondencji z Julianem Tuwimem.

Gdy pili drugą kawę, pojawiła się w drzwiach Ginczanka, co od razu poprawiło im humory.

- Jak tam słynny poeta w mundurze? – przywitał ją ironicznie Śpiewak, zanim zdążyła usiąść.

- Janku, zapraszasz mnie po to, aby mi dokuczać? – zaprotestowała. – Proszę cię....

- Przepraszam. Tak mi się jakoś powiedziało – zsumitował się. – Wczoraj, gdy do mnie zadzwoniłaś wyczułem, że jednak byłaś pod wrażeniem...

- Nie kryję, że jego wiersze podobają mi się.

- A on? – dociekał.

- Nie bądź wścibski. Ale jak już zapytałeś, powiem bez owijania w bawełnę, wonieje koszarami i żołdackim juchtem – rzekła z odrazą.

- Fuuuj – Janek wymownym gestem złapał się za nos.

- Niestety, to samo czułem – potwierdził Stan. – Przez delikatność nie chciałem o tym mówić. Swoją drogą – spojrzał na Zuzannę – nawet kapraleskie słowa w twoich ustach brzmią sympatycznie.

Ginie zaśmiały się oczy.

- Chyba po raz pierwszy tak wyraziście doświadczyłam dwóch przeciwstawnych wrażeń mających jedno źródło; z jednej strony czystej poezji, którą mi ekspresyjnie recytował z pamięci, a z drugiej trudnego do zniesienia zapachu. Lecz... – zawahała się – zatrzymajcie to dla siebie.

- Jak kamień w wodę... – zapewnił Stan.

- Aha, mam taką sprawę... – spojrzała na niego nieśmiało.

- Chodzi o grupę „Wołyń”? – uprzedził ją.

- Skąd wiedziałeś? – była zaskoczona.

- Zgadzam się. Możesz mnie do niej zapisać – ponownie przewidział jej zamiar.

- Niesamowite – oczy Zuzanny powiększyły się ze zdumienia. – Właśnie chciałam ci zadać to pytanie.

- Masz więc odpowiedź przed pytaniem – Stanisław był z siebie kontent.

- Ty zawsze tak? – nie mogła wyjść z podziwu.

- Zależy od dnia, nastroju i paru innych spraw...

- Skąd ci się to wzięło? – zaciekawił się Jan.

- E tam, nic ciekawego.

- Stan, powiedz – Zuzanna prosiła głosem pełnym wdzięku. – To szalenie interesujące...

- W ogóle nie jest interesujące. Nie lubię o tym mówić.

- Proszę, proszę... – nalegała.

Po chwili wahania dał się przekonać.

- W dzieciństwie upadłem z roweru, uderzyłem głową o kamień, zemdlałem... Od tego czasu o paru sprawach wiedziałem, zanim się wydarzyły. Naprawdę nic ciekawego... – wykręcał się.

- Powiedz, zdam za rok maturę? Powiedz mi, błagam... – mówiła kokieteryjnie. – Tak się boję...

- Nie masz się czym martwić. Zdasz. Nawet matematyka pójdzie ci gładko.

- Jeśli się to sprawdzi, dam ci... – zastanowiła się – kilo cukierków – rzekła euforycznie.

- To będzie dla mnie najsłodsza nagroda.

- Dosłownie – zauważył Janek.

- I w znaczeniu przenośnym też – rzekł Selich odwracając twarz w stronę Zuzanny.

- A po maturze? – paliła ją ciekawość.

- Staniesz się gwiazdą w stolicy... – Stanisław zamyślił się. – Gwiazda będzie twoim przeznaczeniem... – nagle urwał, jakby zląkł się mocy wypowiedzianych słów.

- Gwiazda? Jaka gwiazda? O co chodzi? – zasypywała go pytaniami.

- Stan, co ty? Co się z tobą dzieje?... – Janek zaniepokoił się widząc jego pobladałą twarz z zamglonymi, nieruchomymi oczami.

- A ty... – ocknął się z zamyślenia i zwrócił się w jego stronę – owszem zrobisz karierę, ale bardziej znany będzie twój syn. Zostanie kiedyś cenionym profesorem... – mówił sprawiając wrażenie nieobecnego.

- Dziwne – nie mógł uwierzyć. – Przecież nie mam syna.

- Będziesz miał.

- Stan, o co chodzi z tą gwiazdą – niepokoiła się.

Nastała długa chwila męczącego wyczekiwania. Gina i Janek z uwagą przyglądali się Selichowi, który wyglądał na osobę będącą pod wpływem hipnozy.

- Źle się poczułem, ale zaraz będzie dobrze, przepraszam – uspokoił ich. Jego źrenice powoli nabierały poprzedniego żywego blasku.

- Stan, Stanisław... – Janek potrząsnął go za ramię. – Od tej strony cię nie znałem, możesz coś bliżej o tym powiedzieć?

Stan milczał. Nawet na prośbę Zuzanny, która również dopytywała się o jego samopoczucie, nic nie odpowiedział. Pokręcił tylko głową mówiąc, że już wszystko jest w porządku.

3.

Zaszło coś nieoczekiwanego, co może przewartościować moje dotychczasowe myślenie i postępowanie. Poznałem bóstwo, zaledwie siedemnastoletnią poetkę na rok przed maturą. Na imię ma Zuzanna. Tylko błagam... nie mów, że to dziecko i żebym sobie nie zawracał nią głowy. Zbyt duża różnica wieku? Bzdura. Nieistotny szczegół. Ta licealistka jest w pełni dojrzałą osobą, niedawno zadebiutowała w „Wiadomościach...”. Rozmawiamy o poezji, sztuce, o wszystkim... Mam jednak pewne zmartwienie; ona podoba się jeszcze mojemu koledze i nie wiem, czy będę miał u niej szansę... Zwariowałem na jej punkcie. Ma niepospolitą urodę. Moje stany metafizyczne dotyczące głównie sensu egzystencji, o których rozpisywałem ci się ostatnio, nagle pierzchnęły. Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale dzieje się całkiem niezłe, bo ten podły świat nie jest chyba taki podły, skoro zaczyna mi się coraz bardziej podobać. Szczególnie, gdy patrzę na to boskie stworzenie. Przysłowie tureckie mówi, że przypatrywanie się pięknej kobiecie jest uczynkiem pobożnym. Powiem ci w sekrecie, że staję się coraz bardziej pobożny.

4.

Wydobywane z fortepianu przez Balińskiego frazy muzyczne stanowiły wdzięczne tło dla prowadzonych rozmów. Dźwięki, niczym nostalgiczne opary, krążyły wokół wspomnień z ostatnich lat podkreślając kończącą się epokę i zarazem niepokojącą atmosferę nadciągających czasów.

- W tym zatęchłym europejskim powietrzu wisi coś fatalnego – obwieścił głośno Sobański.

- Racja, Toniu – potwierdził Stan. – Ja też czuję, że nad nami wisi coś niedobrego, jak miecz Damoklesa. Mało tego, w niedługim czasie dojdzie do niewyobrażalnych tragedii.

- Zgłaszam zdanie odrębne – stwierdziła pół żartem pół serio Zuzanna.

- Pozostaję przy swoim stanowisku – zaprotestował Stan.

- Masz prawo – odpowiedziała.

- Nie pamiętasz już, jak w *Agonii* pisałaś: „Zdychasz stara Europo, brzękniesz jak trup, gnijesz gangreną...” – Stanisław zacytował fragment jej wiersza. – Zmieniłaś zdanie?

- Pamiętasz to? – zdziwiła się. – Gdy pisałam *Agonię*, czułam zbliżanie się końca pewnej epoki – mówiła. – Żyłam wtedy katastrofizm. Teraz tamte wizje opuściły mnie.

- Dziwne. Przecież twoja niedawna replika na wiersz Słonimskiego *Maj 1939* była przenikliwa, dostrzegłaś zbliżające się zło. Antoni, jak nieopierzony poetnik, wciąż zachwycał się majem i wiosną, a ty – niczym dojrzała wieszczka – ten nastrój wykpiłaś, jakbyś przeczuwała zbliżającą się grozę...

- Przebywając teraz dwa miesiące na Podolu wyciszyłam się, przestałam się obawiać złych mocy.

- Zbliża się groźny czas, jak nawałnica.

- Myślałam, że wyrosłeś z katastrofizmu...

- Nie chodzi o nurt w literaturze, czy sztuce, ani nawet o sposób myślenia, ale o coś znacznie poważniejszego, o pewien rodzaj hekatomb. Nie umiem tego skonkretyzować, ale intuicja podpowiada mi, że będzie bardzo, bardzo źle.

- Teraz, kiedy tak mi świetnie idzie – szepnęła mu do ucha – masz kasandryczne wizje. Stan, proszę cię, nie rób mi tego... – rzekła niemal błagalnie.

W tym momencie przysiadł się do nich Iwaszkiewicz.

- Kilka dni temu wojsko zarekwirowało z majątku mojego najulubieńszego konia Ralfa. Co nas jeszcze czeka? – powiedział przygnębiony.

- Zgadzą się z Witoldem, który przed wyplłynięciem głośno przestrzegał przed zbliżającą się katastrofą – rzekł z przejęciem Stan.

- Ach, ten Witek... – Jarosław zamyślił się gładząc rzadkie włosy na prześwitującej łysinie – coś przypominam sobie, gdy spotkałem się z nim ostatni raz, faktycznie mówił mi o nadciągającej apokalipsie. Przyznam jednak, że wtedy jego słów nie brałem serio. Wiecie, jaki on jest... No, mówiąc między nami, zawsze trochę błaznował.

- Swoją drogą chyba już dopłynął do Argentyny? – zapytała Zuzanna.

- O, właśnie, nie powiedziałem wam tego, bo nie było okazji. Kilka dni temu otrzymałem od niego depezę informującą, iż na „Chrobrym” przybił do Buenos Aires – rzekł Iwaszkiewicz.

- Uwolnił się od naszych zagrożeń – podsumował Selich.

5.

W środku lipcu 1935 roku Stan wyjechał do Wilna, gdzie uczestniczył w dwóch spotkaniach literackich. Poznał młodych ludzi pióra, między innymi Czesława Miłosza, Teodora Bujnickiego i Jerzego Putramenta. Tematem wieczorków literackich była poezja Selicha ze szczególnym uwzględnieniem tomiku *Red na maks*, który odbił się głośnym echem w środowisku. Po kilkudniowym pobycie w grodzie Giedymina pojechał do Podhajec odwiedzić rodziców. Wrócił do Warszawy w ostatnim tygodniu lipca. W knajpie Wróbla spotkał się z Kazimierzem Rudzkiem, który między innymi opowiadał mu o Ginczance. Stan nie pochwalił mu się, że już ją poznał. Od Kazika chciał się dowiedzieć o niej jak najwięcej, a chwając się znajomością z nią – tak sobie wykoncypował – mógłby mu wszystkiego nie powiedzieć. Rudzki powtórzył krążącą o Zuzannie pogłoskę, że wyróżnienie w „Wiadomościach Literackich” przyznano jej dzięki Julianowi Tuwimowi; lecz od razu zdystansował się od tej plotki. Stan usłyszał też, że od niedawna zaczęła bywać w „Ziemiańskiej”. Ta ostatnia wieść szczególnie go uradowała.

Nazajutrz Selich swoje pierwsze kroki skierował do tej kawiarni. W drzwiach spotkał się z wychodzącym Jarosławem Iwaszkiewiczem, który lubił go mimo jego krytycyzmu wobec skamandryckiej poezji. Iwaszkiewicz spieszył się, więc tylko napomknął mu o konieczności dłuższego spotkania.

- Musisz mnie koniecznie odwiedzić w Stawisku – powiedział na pożegnanie.

- W ostatnią niedzielę – rzekł Selich.

- Chętnie. Tylko wybacz... – Jarosław zakłopotał się – ale nie łapię o co chodzi z tą ostatnią niedzielą... Teraz na kilka tygodni wyjeżdżam.

- Nie teraz. Za kilka lat.

- Na pewno będziesz u mnie wcześniej, obiecuję – stwierdził pewnie.

- Nie wiem czy wcześniej, czy później, ale będzie to ostatnia niedziela – rzekł jakby nie swoim głosem.

Iwaszkiewicz przyjrzał mu się badawczo i zaniepokojony szybko się pożegnał. Stanisław wszedł do wnętrza i rozejrzał się uważnie po sali. Kłęby tytoniowego dymu unosiły się w powietrzu. Tłum bywalców okupował wszystkie stoliki. Od razu spostrzegł Witolda i jego kompanów siedzących na parterze pod dużym lustrem. W oparach dymu byli ledwo widoczni. Zamierzał do nich podejść, ale najpierw postanowił odwiedzić na piętrze Władka Broniewskiego, którego lubił, mimo iż nie utożsamiał się z jego poglądami. Idąc szybko po schodach nie spojrzał nawet na Skamandrytów siedzących na półpięterku. Przy lewicowym

stoliku wokół Broniewskiego siedzieli poeci Stanisław Lec, Adam Ważyk, Lucjan Szenwald i scenograf teatralny Władysław Daszewski. Na tym ostatnim zawiesił przez chwilę wzrok. Zamyślił się. W jego głowie roily się niepokojące myśli.

- On cię zdradzi – szepnął Broniewskiemu do ucha.

- On, czyli kto? A w ogóle co ty pieprzysz, Stachu – odparował bezceremonialnie.

- Daszewski.

- Chyba zwariowałeś. Najlepszy przyjaciel? W jaki sposób? Odbije mi babę, czy co? – rzekł w swoim stylu.

- Za kilka lat we Lwowie. Zafunduje ci masę cierpień.

- Ze mnie się śmieją, że miewam pijackie zwidy, ale ty, Staszek, masz chyba jeszcze większe. I najgorsze, że masz je na trzeźwo.

Stanisław przerwał myślowy dialog. Podszedł do Władka, z którym przywitał się serdecznie.

- Uważaj na siebie we Lwowie – szepnął mu do ucha, a właściwie samo mu się to powiedziało, jakby wbrew woli.

- A ty uważaj na siebie w Warszawie – zarechotał w odpowiedzi na niezrozumiałą uwagę.

Stan widząc, że poeta jest na rauszu, zrezygnował z dalszej rozmowy. Na pożegnanie ścisnął mu kark. Pozostałym jego towarzyszom pomachał przyjaźnie ręką (omijając wzrokiem Daszewskiego) i odszedł. Wracając po schodach przyjrzał się bywalcom siedzącym przy stoliku Skamandrytów: Tuwimowi, Słonimskiemu, Francowi Fischerowi, Tadeuszowi Wittlinowi, Lilce Pawlikowskiej i Zuzannie Ginczance. Dopiero teraz ją zauważył. Ucieszył się jej widokiem. Chciał się przywitać, lecz – zgodnie ze zwyczajem – nie mógł podejść do ich stolika bez osoby wprowadzającej. Wtem Zuzanna odwróciła głowę w jego kierunku. Niespodziewanie skrzyżowali spojrzenia. Zauważył także, że już wcześniej krzątała się w poszukiwaniu torebki szykując się do wyjścia. Postanowił poczekać. Patrząc na nią przypomniał sobie sentencjonalne słowa Rudzkiego: „Gina przebywając ze Skamandrytami łagodzi gorycz stetryczalnych klasyków, natomiast przy stoliku Witolda obdarowuje swoim wdziękiem literatów spod znaku ironii i purnonsensu”.

- Serwus, Stan – przywitała go radośnie podając do ucałowania dłoni. – Nie widzieliśmy się wieki...

Tuwim i Pawlikowska spojrzeli na nich z zazdrością. Stan idąc z Zuzanną porzucił myśl o odwiedzeniu stolika Gombrowicza. Wyszli na Mazowiecką. Spojrzał ukradkiem na jej profil. „Jeszcze bardziej wypiękniała” – ocenił ją w oka mgnieniu.

- Dlaczego przez ostatnie miesiące nie napisałaś choćby kawałka listu? – sympatycznym tonem zgłosił pretensje.

- A dlaczego ty nie przysłałaś mi nawet kawałeczka kartki pocztowej? – odpowiedziała z dziewczęcą zaczepnością.

- Przed wakacjami umówiliśmy się, że napiszemy do siebie, jeśli pamięć mnie nie myli... – bronił się.

- Zgadza się. Tylko nie ustaliliśmy, kto zrobi to pierwszy, a jeśli nie było takiego ustalenia, to chyba wypadało, żeby mężczyzna napisał pierwszy...

- Ustrześliłaś mnie. Przepraszam. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że mogłem pierwszy wysłać do ciebie list – usprawiedliwił się po sztubacku. – Po prostu czekałem na twój sygnał.

- Szkoda – powiedziała zasmucona. – Też czekałam.

- Jakie masz plany? – zmienił temat.

- Teraz, czy w ogóle?

- Teraz i w ogóle.

- Właśnie zapisałam się na wydział humanistyczny na uniwersytecie – powiedziała z dumą. Po chwili milczenia zatrzymała się przyciskając ręce do piersi. – Zrobiło się trochę

chłodniej... – po czym niespodziewanie włożyła mu rękę pod łokieć. Stan poczuł przyjemne ciepło. Uścisnął mocno jej przedramię.

- A co do matury... – gratuluję. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że pójdzie ci gładko.

- Jestem ci winna kilo cukierków – przypomniała sobie.

- Daj spokój. Ważne, że ten kłopot masz już za sobą.

- Nie spodziewałam się, że tak łatwo zdam – odrzekła zadowolona. – Do tej pory nie mogę zrozumieć, w jaki sposób rozwiązałam z matmy wszystkie zadania.

- Życzę ci sukcesów na uniwerku – powiedział zwyczajnie nie siląc się na wyszukane powinszowania i pocałował ją delikatnie w policzek. Nie był pewien, jak zareaguje, lecz w momencie zbliżania ust do jej twarzy nie zrobiła uniku. – Jesteś najcudowniejszą dziewczyną pośród wszystkich poetek – z wrażenia zakręciło mu się w głowie.

- Pa-nie Sta-nie, proszę sobie za dużo nie wy-o-bra-zać... – wycedziła kokieteryjnie.

- Wydaje mi się, że pan-na Zu-zan-na – dostosował się do jej intonacji – nie ma racji, ponieważ poeci nie muszą sobie za dużo wyobrazać, bo mają wystarczająco wybujałą wyobraźnię.

- Staszku, myślałam o innej wyobraźni, ani poetyckiej, ani pisarskiej... – zariipostowała.

- Ale na tym innym polu też mam ją nieźle rozwiniętą.

- Jak wszyscy artyści. No może nie wszyscy, ale większość – poprawiła się. – A propos wyobraźni twój ostatni tomik *Red na maks...* Ho, ho, muszę przyznać, że to erupcja błyskotliwości.

- Dziękuję. Twoje słowa miło krzepią moją duszę.

- Skamandryci wciągnęli cię na czarną listę – zażartowała.

- Trochę ich poszarpałem dając parę kuksańców. Należało im się, bo wciąż próbują monopolizować literaturę swoją przestarzałą poetyką.

- Wujek Julian jako jedyny z grona wstrzymał się od krytyki, a pod nosem cieszył się, że ktoś tak dobrze potrafi bawić się słowami. Zresztą jak on sam.

Po usłyszeniu o wujku Julianie pomyślał o pogłoskach dotyczących kulisów wyróżnienia jej w „Wiadomościach Literackich”. Coś ścisnęło go w krtani, jednak nie dał tego po sobie poznać.

- Co sądzisz o tytule? – zapytał.

- Józek chciał mi go wyjaśnić, ale powiedziałam, żeby nie obrażał mojej inteligencji. Pamiętam, gdy w Równem napomknąłeś mimochodem o szykowanym kolejnym tomiku, ale wtedy nie chciałeś ujawnić tytułu mówiąc, że będzie to niespodzianka. Po publikacji starałam się odszyfrować ten niby palindrom. Głowiłam się, ale jak już odszyfrowałam, to rzecz wydała się prosta.

- I?...

- Skamander czytany wspak: *Red na maks, czyli Czerwony na całość*.

- Idealnie. Choć może też być szkarłatny.

- Robi wrażenie. Słyszałam taką opinię: „Jak ten Selich śmiał szargać świętości”.

- Zawsze tego doświadczam, gdy mijam ich stolik.

- Dlatego Gombrowicz przyjął cię z otwartymi ramionami?

- Znamy się od zawsze. Nie mówiłem ci? Razem byliśmy na prawie. Mimo, że on nie cierpi poezji, to jednak mój głos uznał za istotny w dyskusji na temat współczesnej poezji.

- *Red na maks* trochę wpuścił świeżego powietrza...

- Twoja opinia jest cenna, bo masz pełniejszy obraz tego światka.

- Ja? – zdziwiła się.

- Bywasz u nich na półpięterku i równocześnie gościsz przy stoliku Witka.

- Och, daj spokój... – wdzięczyła się sympatycznie. – U jednych i drugich byłam zaledwie kilka razy. Choć muszę przyznać, że bardziej odpowiada mi towarzystwo Witolda, niż dostojnych kombatantów poezji.

- Nie przesadzasz z tymi kombatantami? Jestem przekonany, że jeszcze trochę powalczą.

Skręcili w ulicę Traugutta. Przez chwilę szli w milczeniu. Stan mocniej przycisnął do swego boku jej rękę. Zamyślił się: „Co za szczęśliwy traf losu: pierwszy raz od dłuższego czasu spotykamy się i od razu czuję jej ciało...”

- Co teraz masz pod piórem? – zaciekała się.

- Nic nadzwyczajnego. Siedzę...

- Z głową w chmurach? – weszła mu w słowo uśmiechając się filuternie.

- Tylko czasem. Powinienem teraz pisać o katastrofizmie w poezji Staffa, ale w połowie utknąłem. Zabrałem się więc do relacji z „Najazdu Awangardy na Warszawę”. Przy jakiejś okazji opowiem ci o moim pobycie na Litwie.

Stan przytulił ją mocniej i poczuł, jakby znalazł się u progu błogostanu. Wtem Zuzanna wyciągnęła rękę spod jego ramienia. Zaniepokoił się.

- Odprowadzisz mnie pod kolumnę Zygmunta? – poprosiła. – Czeka tam na mnie Andrzej.

Wiadomość ta zmroziła go. Andrzej Nowicki był dla niego konkurentem. Kolejny wielbiciel Zuzanny, przystojny młodzian, satyryk. Właśnie w tym czasie z Erykiem Lipińskim i Zbigniewem Mitznerem czynili starania założenia nowego tygodnika satyrycznego „Szpilki”.

Wśród wielu informacji, którymi Rudzki uraczył Stana była i ta, że Nowicki kochał się bez pamięci w Zuzannie. Oboje byli laureatami konkursu poetyckiego „Wiadomości Literackich”, co zapoczątkowało ich znajomość. Wieści Kazika nie wywarły wówczas na Stanie większego wrażenia. Teraz jednak poczuł dotkliwe ukłucie w dołku. Nie mógł pojąć dlaczego przed chwilą wsunęła mu pod ramię rękę i nawet przytuliła się, skoro szła na randkę z kimś innym.

- Andrzej, Andrzej... – powtórzył z niesmakiem. – Może nie przyjdzie?

- Przestań, proszę. Chciałbyś, żeby nie przyszedł – oburzyła się.

6.

W kawiarni przy stoliku wokół Gombrowicza siedzieli: Eryk Lipiński z żoną Hanną Goławską, Stefan Otwinowski, Kazimierz Rudzki, Gizela Ważyk i Jerzy Andrzejewski. Stan Selich dotarł później.

- Cześć, panie i panowie szlachta – przywitał się żartobliwie i zajął wolne krzesło obok Andrzejewskiego.

- Witaj, panie Stanisławie, synu pijanego fuhmana i gahbatej phaczki – odezwał się prowokacyjnie Gombrowicz grasejując w swoim stylu (Witold miał w zwyczaju zwracać się nawet do bliskich sobie osób per pan, choć nie był w tym konsekwentny).

Gizela spojrzała współczująco na Stana. Ten jednak nie przejął się jego słowami, na które miał już przygotowaną ripostę. Wtem uprzedził go Jerzy.

- Delikatnyś pan, jak żmudziński smolarz, a nie jaśnie panicz – Andrzejewski stanął w obronie Stana. Jerzy jako jeden z niewielu potrafił stanowczo przeciwstawić się Witoldowi, choć potem zawsze to boleśnie przeżywał.

- Fakt. Jam Żmudzin z dziada phadziada, któhry rzeczce phosto z mostu. A Stan... tak po phawdzie jest synem podhajskiego dziedzica i krzepkiej dziewczki z czeladzi. Zhesztą nigdy się na mnie nie obhaża... – Gombrowiczowi żarzyły się zawadiacko oczy, choć starał się mieć poważną minę, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Doprawdy nie wiem, Witku, dlaczego niepotrzebnie rozdrażniasz swoich wiernych przyjaciół – przemówił poważnie Andrzejewski. – Co ci to daje, na Boga?

- Bez prowokacji i ironii nie byłby sobą – Stan zwrócił się do Jerzego. – Mimo, że niechętni mówią o nim pajac – w tym momencie całe towarzystwo przeniosło wzrok na Witolda, którego oblał delikatny rumieniec – to jednak dla mnie nie jest pajacem, lecz dobrym kompanem i kapitalnym pisarzem. Nieprawdaż, Wituś? – spojrzał mu głęboko w oczy. – Nie wiem dlaczego, ale chyba cię lubię, choć inni na moim miejscu dawno by się obrazili za tego furmana na przykład...

- Bo jeśli wiesz, że coś jest nieprawdą, to jaki sens jest się obhażać? To tak, jakby ktoś mi powiedział: „Ty ćwiehćinteligencie” – mówił Gombrowicz, z którego wychudłej twarzy znikł już rumieniec, a pojawiła się poprzednia bladeść. – Bo taki na przykład Juheczek, dziecko szczęścia, plebana i gosposi, czyli potomek aż trzech hodźców, co się w naturze nader rzadko zdarza, też się nie obhaża... – po czym dodał – mam nadzieję... – łągodząc wymowę wypowiedzi.

- Ale mogę się obrazić – odrzekł Andrzejewski. – I już przestałbyś, Gombruniu kochany, doszywać mi nowych rodziców, bo stąpasz na granicy linii, którą łatwo przekroczyć.

- Chodzę haczej nie przy linii, lecz po cienkiej linie wiszącej nad przepaścią.

- Czyliś jednak trochę cyrkowy pajac? – skwitował złośliwie Jerzy.

- Ahtysta. Jak z pewnością wiesz, ahtysta musi czuć ciągle zaghożenie przed upadkiem. Musi żyć w nieustannym napięciu. Inaczej nie będzie twóhczy. Jeśli chcesz być głębokim morzem, musisz się burzyć, ryzykować, w przeciwnym razie będziesz tylko mętną wodą w kałuży.

- Teoretyzujesz, panie Witoldzie – ocknął się z zamyślenia Stefan Otwinowski. – Życie sprawdzi każdego z nas, kto morzem, a kto kałużą.

- I tu się z tobą częściowo zgadzam, Stefczyku dhogi. Chociaż życie to zbyt ogólnie powiedziane, bowiem sphawdzą nas czytelnicy.

- Czytelników można urobić, można im wmówić niestworzone historie, jaki to jest wspaniały utwór, a w rzeczywistości będzie nic nie warty... – ripostował Andrzejewski.

- Nie dokończyłem, panie i panowie, i ty, Juheczku. Sphawdzą nas nie tyle żyjący czytelnicy, ale ci z przyszłych pokoleń – kontynuował Witold. – Jeśli oczywiście tacy się znajdą, he, he – zarechotał sardonicznie.

W tym momencie do Gombrowicza podszedł kilkunastoletni chłopak z liścikiem. Witold przeczytał w skupieniu karteczkę, po czym zmienił się na twarzy, jakby uszło z niego powietrze. W mgnieniu oka przestał być dominujący i zadziorny. Z króla stolika stał się zgasłym paziem.

- A cóż to, u licha, stało się, żeś pan tak raptownie pobladł – zaciekał się Stan.

- Dupa – odburknął zły Gombrowicz.

- To na pewno – zauważył Eryk. – Tylko czyja?

- Dupa, dupa – powtórzył.

- Nie rób nam apetytu, tylko mów, kto ci dał kosza – zażartował Andrzejewski.

Kobiety spojrzały na Jerzego skonsternowane.

- W kibinimateh to wszystko... – Gombrowicz dał upust swoim emocjom.

- Witek, przestań, do diabła. Mów o co chodzi. Widzę, że nareszcie jesteś sobą i nie grasz – przemówił demaskatorskim głosem Stan, którego poniosło.

- Co? Co rzekłś? – Witold zeszytniał i spojrzał mu świdrująco w oczy.

- Nic szczególnego, po prostu przez chwilę przestałś grać. Musiałem ci to powiedzieć, bo twoje prowokacyjne zachowania czasem są męczące. Ten liścik zdarł z twojej twarzy maskę.

- Ho, ho... Panie Stanie, pan się wyhaźnie rozkhęcasz...

- Przez grzeczność nie zaprzeczę. Ale mów wreszcie o co chodzi – kategorycznym tonem zażądał Selich.

- No już dobrze, widzę, że wszystkie wasze ciekawskie ślepia wpatrzone są w moje złote usteczka, co też powiedzą. Kłamstwo, albo jaką wyhafinowaną fantazję...

- No i znowu założyłeś tę wymiętą maskę, która przed chwilą spadła ci z chrzęstem na podłogę – zirytował się Andrzejewski.

- Nałkowska odwołała wieczór – wykrztusił wreszcie z siebie wiadomość z kartki. – Znowu źle się czuje. Szkoda. Bo dzisiaj miałem odczytać ważny fragment nowej powieści. I oczywiście posłuchać uwag. Psiakhew...

- Spotkacie się za tydzień, nic straconego – próbowała pocieszyć go Gizela.

- Za tydzień wyjeżdża do Łucka na zaproszenie wojewody Józewskiego, a przy okazji ma jakieś spotkania autohskie.

- No to za dwa tygodnie – ktoś rzucił.

- Za dwa tygodnie to nie wiadomo, czy nie będzie końca świata....

Nastała chwila ciszy, podczas której Lipiński i Rudzki zapalili kolejne papierosy.

7.

Było późno. Kawiarniane towarzystwo rozchodziło się do domów. Większa część kompanii Witolda odprowadzała go na Mokotów. Selich szedł sam w przeciwnym kierunku. Podszedł do niego Andrzejewski.

- Stanisławie, Stanisławie... – zawołał – powiem ci szczerze, że już nie wytrzymuję atmosfery napięcia ze strony Witolda...

- Mhh – mruknął niejednoznacznie.

- Wiesz, co mam na myśli?

- Potrafię cię zrozumieć, choć jego autokreacja i prowokacyjne gry nigdy mi nie przeszkadzały.

- Delikatnie to nazywasz. On chce za wszelką cenę dominować i robi to skutecznie. Przytłacza nas wszystkich...

- Uściślijmy to, owszem przytłacza, ale nie wszystkich. Góruje swoją osobowością – stwierdził Stan.

- Nie jestem pewien. Narzuca tematy, swój sposób bycia, konwersacji... – kontynuował Jerzy. – W ogóle nie dopuszcza, by inni wybijali się w jego obecności.

- Szuka formy, a właściwie próbuje złamać istniejącą. Prawdę powiedziawszy nie widzę nikogo, kto mógłby przeciwstawić się jego indywidualności. No, może Witkacy, ale on jest nie z tej epoki i z innej konstelacji... Swoją drogą sądzę, że tobie i Witkowi – dwóm tak odmiennym osobowościom i pisarzom – trudno jest się dogadać, trudno jest współzystawać obok siebie... – zauważył Selich.

- Nieprawda. Ja na przykład świetnie dogaduję się z Cześkiem, który jest nie mniej utalentowany. A z Witkiem..., z jego stylem bycia, egocentrycznym stosunkiem do ludzi..., no... powiem ci szczerze..., nie potrafię sobie poradzić.

- Cóż... – Stan rozłożył bezradnie ręce.

- Myślałem nad tym długo i chyba jednak dam sobie spokój ze spotkaniami w jego towarzystwie.

- Jurku, nie rób tego – zasmucił się Selich.

- Przemyślałem to.

- Twoja nieobecność będzie stratą.

- Nie chcę i nie mogę być dla niego tłem. On, poza pisaniem, realizuje się w kontaktach z ludźmi. Perorując, dialogując, gestykulując, czy robiąc aktorskie miny, czasem kretyńskie, czasem nawet śmieszne, jest w swoim żywiole. Ja pod tym względem ustępuję mu pola, lecz nie rozpaczam z tego powodu, ponieważ jego konwencja nie mieści się

w mojej estetyce i filozofii. Zawsze uważałem, że potrafię z ludźmi dyskutować... Natomiast przy nim popadam w przygnębienie... Poza tym nienawidzę, gdy się rozmawia o mnie, jak o rzeczy. I to w mojej obecności.

- Możesz powiedzieć konkretniej?

- Nie pamiętasz, jak kiedyś Witold zapytał przy mnie Otwinowskiego: „Panie Stefczyk, niech pan powie, jakie na panu wrażenie wywiera pan Jerzy?”. To już przelało we mnie czarę goryczy. To nie była prowokacja artystyczna, lecz próba zwasalizowania mnie.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć – Selich był zakłopotany.

- Jeśli miałbym jeszcze przez pewien czas znosić go, to tylko i wyłącznie dla tak cudownego zjawiska, jakim jest Gwiazda Syjonu, jak sam o niej mówi.

- Zuzanna... – Stan poczuł w piersiach przyjemny ucisk.

- Jakaż to uroczą dziewczyna, właściwie jeszcze dziewczynka... – rozpląwał się w zachwycie Jerzy. – Niebawem połączenie niewinności i pięknie rozkwitającego talentu.

- Uosobienie czaru – dodał Selich starając się mówić obojętnym tonem. Nie chciał bowiem przed nim zbyt emocjonalnie okazywać swojego stosunku do kochanej osoby.

- Mógłbym na temat jej wilgotnych oczu i smagłej skóry napisać opowiadanie... – rozmarzył się Andrzejewski. – *Zuzanna i młodzieńcy*, pyszny tytuł?

- Pretensjonalny. Za prosta analogia do *Zuzanny i starców*.

Andrzejewski zamyślił się.

- Niestety, muszę przyznać ci rację – poprawił sobie okulary. – Powiem ci szczerze, że pomysł opowiadania już mnie podnieca.

- Przypuszczam, że po twoim opowiadaniu zakochani w niej faceci mogliby poczuć się nieswojo – klepnął przyjaźnie Andrzejewskiego po barku i jednocześnie spojrzął ukradkiem na jego twarz, czy się nie obraził.

- Z pewnością bym ją udanie sportretował, bo dobrą rzecz może napisać tylko ktoś, kto ma dystans do tworzywa – powiedział z naciskiem. – Pisanie emocjami jest skazane na niepowodzenie, nie wybroni się.

- Uważam inaczej. Można napisać frapującą historię emocjami, buzującą od płonącego uczucia – ripostował Stan.

- Na upartego wszystko można. Tylko wtedy nie masz odpowiedniej perspektywy. Powtórzę swoją starą myśl, która jest truizmem, ale – wydaje mi się – niegłupim: dla mnie jedną z najważniejszych spraw jest synteza. Piszący przy dużym zaangażowaniu ma perspektywę żaby widzącej trawę i koniki polne, nigdy nie będzie miał spojrzenia wysoko szybującego ptaka ogarniającego dookólną przestrzeń. Synteza rodzi się, gdy mam – powtórzę – dystans do materii.

„Przecież wszyscy wiedzą, że on ma dystans do kobiet – Stan zamyślił się. – I być może właśnie dlatego mógłby lepiej opisać pleć piękną? Ale tego nie robi, bo te sprawy najzwyczajniej w świecie go nie interesują”.

- Choć z drugiej strony... – Andrzejewski zrobił krótką pauzę – ja czuję te istoty trochę inaczej...

- Chyba każdy czuje je inaczej... – Stan nie wyczuł podtekstu wypowiedzi.

- Stasinek – uśmiechnął się życzliwie Andrzejewski – cenię cię i lubię, jesteś delikatny. Każdy ma swoją optykę. Nie mówię o konstrukcji psychofizycznej, bo ta kwestia leży poza nami, jest... jakby tu powiedzieć... transcendentna. Zresztą nie roztrząsajmy jej teraz, może kiedyś przyjdzie czas, aby się tym zająć. A z tobą mógłbym tę materię zgłębiać nie zniżając lotu. I bez skrępowania, bo czuję, że istnieją między nami fluidy porozumienia... Nie myślę się? – upewnił się spoglądając na niego spoza okularów.

- Porozumienia intelektualnego? – upewnił się Stan.

- Hmm... – zawahał się. – Intelektualnego też. Przede wszystkim duchowego. Filozoficznego.

- Tak...

- Jesteś świetnym kompanem – Jerzy dotknął delikatnie jego ramienia. – No powiedz, z kim mogę tak od serca pogadać, jak nie z tobą?... Przecież w dzisiejszych czasach nikt nie potrafi przyznać komuś racji, tylko idzie w zaparte. Ty potrafisz.

- Zuzanna, faktycznie, jest kapitalnym twórcą na nowelkę.

- Widzę, że jesteś zakochany – spojrzał badawczo na Stana.

Selich zamilkł. Nie dał po sobie poznać zmieszania po jego słowach. „Bystry lis” – pomyślał w duchu.

- Może jednak przemysł swoją decyzję w sprawie opuszczenia naszego towarzystwa? – szybko zmienił temat.

- Najbardziej będzie mi żal rozmów z tobą. Z nikim więcej... – stwierdził z żalem Jerzy.

„Jeśli on wie, że kocham się w Zuzannie, to i wszyscy wiedzą, ...” – rozmyślał Stan. – „Właściwie... dlaczego ma to być tajemnicą? Niech wiedzą. O Łobodowskim wiedzą..., o Piętaku wiedzą..., o Pasternaku wiedzą... – poirytowany wyliczał jej wielbicieli – nie mówiąc już o Nowickim, który ma się za jej narzeczonego. Jeśli więc o nich wie pół Warszawy, to dlaczego nie mają wiedzieć także o mnie. Tylko nie wiedzą tego, że to ja ją zdobędę.” – postanowił.

8.

Stanisław Baliński po dłuższym odpoczynku ponownie zasiadł do fortepianu i grał z jeszcze większą werwą niż poprzednio, powołując do życia aurę minionego czasu. Tonio Sobański poprosił do tańca Wandę Telakowską. Zawierowali na parkiecie z lekkością, mimo iż oboje byli postawni.

- Nie mogę się na nich napatrzeć – szepnął Iwaszkiewicz do żony – tańczą z taką gracją, jak Messalka z Józefem Redo.

- Bardziej przypominają mi Kawecką i Krzewińskiego – zauważyła przekornie Anna, choć porównanie jej męża było właściwsze.

Za pierwszą parą ochoczo ruszyli w tany Zuzanna i Stan.

- Tańczymy dopiero drugi raz – powiedziała z radością pomieszaną z odrobiną skrywanego żalu.

- Trudno byłoby zapomnieć ten pierwszy raz. Kręciło mi się w głowie, gdy wirowaliśmy na parkiecie na Okólniku.

- Mnie też się wryła w pamięć ta gala. Nagroda Młodych PAL... W styczniu? – upewniła się.

- Patrz, ile to już czasu zleciało. Wydawało mi się, że było to w zeszłym roku – zamyślił się.

- Uwielbiam tańczyć.

- Gdybyś powiedziała mi o tym wcześniej, chodzilibyśmy co tydzień na dancingi.

- Tańcząc czuję, że jestem w swoim żywiole.

Po zakończonym energetycznym shimmy, Baliński zaczął grać wolniejszy kawałek. Stan przytulił delikatnie Zuzannę, która poddała mu się bez oporu.

- Ja też lubię tańczyć. Ale wyłącznie z tobą – dotknął ustami jej skroni.

- Proszę cię, nie tak blisko, to nie potańcówka – powiedziała łagodnie, lecz nie odsunęła się.

Stanisław poczuł emanujące od niej ciepło. Policzki Zuzanny zarumieniły się.

- Na tamtym bankiecie nie protestowałam, gdy cię przytulałem – próbował ją udobruchać.

- Protestowałam – przekomarzała się.

- Tak mocno, że dałaś się pocałować.

- Wcale nie dałam. Skradłeś mi pocałunek.
- Prawie, jak na obrazie Fragonarda.

9.

W styczniu 1939 roku odbyła się uroczystość wręczenia Nagrody Młodych Polskiej Akademii Literatury w pałacyku na Okólniku w Warszawie. Laureatem w dziedzinie prozy został Jerzy Andrzejewski za powieść *Ład serca*, która ukazała się w poprzednim roku.

Stan i Zuzanna otrzymali od Jerzego zaproszenia na akademię połączoną z bankietem. Mając kilka minut do rozpoczęcia uroczystości wyszli do parku za pałacykiem. Stanisław miał na sobie smoking, Zuzanna ubrana była w ciemnozieloną suknię z jaśniejszymi dodatkami. Wyglądała gustownie. Chciał jej to powiedzieć, lecz uprzedziła go.

- Prezentujesz się, jak model wycięty z żurnala.

Rzeczywiście smoking leżał na nim idealnie podkreślając nienaganną sylwetkę.

- Właśnie chciałem ci powiedzieć, że wyglądasz przecudnie, lecz byłaś szybsza ode mnie. Swoją drogą wyczułem w twoim głosie odrobinę złośliwości...

- Ależ skąd – broniła się, choć dobrze wiedziała, że celnie odczytał jej intencję.

Na balu wszyscy byli elegancko ubrani, panowie we frakach i smokingach, panie w wieczorowych toaletach. Przy jednym stole siedzieli młodzi laureaci i ich goście; Jerzy Andrzejewski, Stanisław Pięta, Czesław Miłosz, Bolesław Miciński, Ryszard Matuszewski, Stan Selich i Zuza Ginczanka. W części oficjalnej, która ciągnęła się w nieskończoność z powodu nudnych przemówień Wacława Sieroszewskiego i dyrektora departamentu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, wręczono laureatom nagrody. Po przemówieniach kelnerzy dyskretnie roznosili posiłki i napoje.

Podczas wręczania Złotych Wawrzynów Zofii Jaroszewskiej, Marii Kuncewiczowej, Janowi Stanisławowi Bystroniowi i Brunonowi Schulzowi, Jerzy Andrzejewski prowadził ożywiony dialog z Matuszewskim, najmłodszym z grona poetą i początkującym krytykiem literackim. Pozostali młodzi pisarze również głośno perorowali, co przeszkadzało sąsiadom.

- Drogi panie Jerzy – przybliżył się do Andrzejewskiego zakonnik w okularach w brązowym habicie – bardzo cenię pana *Ład serca* i gratuluję nagrody, ale... jeśli można... – mówił grzecznie – bądźcie uprzejmi ściszyć nieco głosy, bo nie słyszę nawet własnych myśli.

Przy stoliku młodych natychmiast zapanowała cisza. Przez pewien czas nikt nie śmiał zabrać głosu, dopiero po paru chwilach odezwał się Matuszewski.

- Jurek, co to za jegomość w tym brązowym, przydługim nieco, „smokingu”? – zapytał sarkastycznie.

- Ojciec Maksymilian Kolbe z Niepokalanowa – wyjaśnił mu.

- Ten od „Rycerza”? – upewnił się Stan.

- I od rozgłośni radiowej, którą zresztą niedawno uruchomił – dodał Bolesław Miciński, który wspólnie z Miłozem pracował w Polskim Radio.

- Poziom tego „Rycerza” jest... olśniewający – stwierdził zgryźliwie Miłosz.

- Ale Kolbe jest niezłym organizatorem. Poza tym to doktor filozofii – powiedział Andrzejewski.

- Co z tego, kiedy poziom pisemka jest marny. Dla prostaczków – skomentował Miciński.

- Nie można się z tym nie zgodzić – ktoś go poparł.

- Możecie mówić, co chcecie, ale to człowiek wykraczający poza zwykły format – skonstatował sentencjonalnie Selich.

- Nie przesadzasz, staruszkę? – zdziwił się Miłosz.

- Zobaczysz za parę lat. Nie zdajemy sobie sprawy co w ludziach drzemie, ani nie potrafimy sobie wyobrazić, co nas czeka.

- Stan, co ty?... – zdziwił się Andrzejewski. – Naszła cię jakaś mania metafizycznych wróżb.

- Twoja córka będzie kiedyś klęczała przed jego wizerunkiem.

- Chyba już całkiem pan zwariował ze swoimi wizjami – odezwał się obcesowo Matuszewski.

- Nie tak ostro, Rysiu – Andrzejewski wystąpił w obronie Selicha.

- Mówiąc: zwariował, miałem na myśli... – zastanawiał się przez chwilę nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa. – No, nie traktujcie tego tak dosłownie, po prostu zastosowałem hiperbolę – zmiękczył swoją wypowiedź.

- Jakbyś się prosił o karę – zgromił go Jerzy.

- Nie musi się prosić, kara spadnie na niego z nienacka – zawyrokował żartobliwie Stanisław.

- Nie rozumiem – spieszył się Matuszewski. – Co za kara..., o czym mówicie?

- Nie musisz rozumieć. Wystarczy, że rozumie to Stan.

- A tak w ogóle, Jurek, co on tutaj robi? – Ryszard dyskretnie wskazał wzrokiem na zakonnika.

- Żółtodziób jesteś w tych sprawach i nic nie kapujesz – powiedział obcesowo laureat.

- Nie wiesz, komu organizacyjnie podlega PAL? Ministerstwu Wyznań... – od razu odpowiedział sobie, nie czekając na jego reakcję. – Rysiu, przecież ktoś daje na akademię literatury pieniądze, choćby na te nagrody... – Jerzy wskazał dłonią na swój dyplom leżący na stoliku.

- No taaak. Jeśli ministerstwo religijne, to i te klechy... – pokiwał głową Ryszard. – Pasują tu, jak kwiatek do kozucha.

Nie minęła godzina, gdy Andrzejewski z Matuszewskim stali już przy barze na chwiejnych nogach. Ten drugi był w stanie wskazującym na spożycie większej ilości alkoholu niż inni. Po wychyleniu kolejnego kieliszka Ryszard nagle runął na podłogę. Jerzy niezdarnie próbował go podnieść, lecz chwiejąc się na długich nogach nie był w stanie tego zrobić. Zauważył ich Stanisław i pospieszył z pomocą. Obaj z trudem podnieśli młodego krytyka. Selich wprawnym okiem stwierdził, że delikwent był pijany w sztok. Zaprowadzili go do hallu sadzając w fotelu przy ładzie szatni.

- Miałeś rację, Stan – zauważył Andrzejewski – na tego szczeniaka kara spadła z nienacka. Jak sądzisz, będą z niego ludzie? To znaczy, czy będzie dobrym poetą? – wskazał wzrokiem na bezwładne ciało Matuszewskiego.

- Poetą trzeba się urodzić, jak na przykład Tuwim, Władek, czy Czesiek. A Rysiu będzie ich tylko chwalił lub czasem podszczypywał.

- Co ty gadasz? – podchmielony Jerzy nie zrozumiał jego wypowiedzi.

- Będzie krytykiem – odparł Stan. – Więc może będą z niego ludzie.

- Krytycy to nie ludzie, to gnidy – wybełkotał. – A ja? Powiedz, błagam... Będą ze mnie ludzie?

- Będą – odrzekł pewnie.

- Ale jacy?

- Różni.

- Stan, chyba całkiem się upiłem. Przecież ja jestem jedną osobą, czyli singularis, Andrzejewski w liczbie pojedynczej, więc nie wiem co mi bulgocze w łepetynie, że mówię o sobie: ludzie. Co ja plotę?

- Dobrze mówisz. Siedzą w tobie różne stworki, Jurku.

Podeszła do nich Zuzanna.

- Długo was nie ma i nie ma... – niepokoiła się. – Tak nie można. Wracajcie do stołu.

- Mamy go tak zostawić? – Stan wskazał wzrokiem na upitego kolegę.

- Poety bym nie zostawił. Krytyka zostawię z czystym sumieniem – Andrzejewski starał się mówić wyraziście. – Nic mu nie będzie. Ten gatunek da sobie radę w każdych warunkach.

- Masz rację. I przeżyje nas wszystkich.

- Rysio? Może i tak, bo ty wszystko wiesz. Ale nie wiesz, że ten chłopaczek chciał mnie upić?

- Chyba całkiem zgłupiał – stwierdził ostro.

- Poszliśmy w zawody. No i rezultat widzisz. Nie wiedział, biedaczyna, z kim ma do czynienia. Wyobrażasz sobie. On chciał mnie upić! Mnie, najtęższy łeb wśród literatów.

- Raczej wśród młodych literatów... – zauważył Selich.

- Nie zgadzam się. Wśród młodych gryzipiórków najtęższy łeb ma Czesio, litewski niedźwiedź. Jego nikt nie przemoże.

- Dobrze wam się rozmawia... ale powiem krótko: albo idziecie ze mną, albo zostajecie z ululany Rysiem – zdenerwowała się Zuzanna.

- Zuziu droga, przecież nie zostawię w biedzie towarzysza niedoli – rzekł niewyraźnie Andrzejewski.

- Proszę, nie mów do mnie Zuziu – odwróciła się energicznie i wróciła do stołu.

Stan uczynił ruch w jej kierunku, ale Jerzy powstrzymał go łapiąc za rękę.

- Daj spokój, dobrze nam się gada. Z nią do woli możesz gawędzić, ze mną nie zawsze. Zresztą tak rzadko się spotykamy. Od czasu, gdy opuściłem wasz stolik widzieliśmy się chyba ze dwa, może trzy razy.

- Zawsze rozmawiałem z tobą z przyjemnością.

- Z wzajemnością. Nasze rozmowy są...

Jerzy wciąż mówił, natomiast Stanisław myślami był przy Zuzannie, bowiem niepokoił się, że nie wrócił z nią do stolika.

10.

Po wybrzmieniu kolejnego sentymentalnego kawałka, Baliński zamknął klapę nad klawiaturą. Był już zmęczony. Tańczące pary rozeszły się.

- Właściwie dlaczego nie zabierałeś mnie na tańce? – powiedziała z żalem Zuzanna.

- Dzisiaj nadrobimy to z nawiązką – musnął ją ustami po policzku.

- Proszę cię, nie wypada – powiedziała kokieteryjnie.

- Wypada, wypada – uspokajał ją. – Najwyżej Stasiu będzie zazdrosny...

- Staś Piętał bardzo mnie lubi – rzekła zadowolona.

- Wolałbym, żeby za bardzo cię nie lubił. Spójrz, jak wodzi za tobą tęsknymi oczami. – wskazał dyskretnym ruchem głowy na siedzącego w kącie salonu poetę, który błyskawicznie odwrócił od niej wzrok udając, że patrzy przez okno.

Tymczasem Jarosław z Toniem podeszli do Selicha.

- Słuchaj, Stan, mamy poważny spór intelektualny – zagaił lekkim tonem Iwaszkiewicz, który rzadko imał się żartów. – Obecny tu hrabia Antoine Henry de Sobański twierdzi, że Broniewski nie mógł się pojedyńkować z bratem swojej kochanki, Irenki Hellman, ponieważ był proletariuszem i komunistą.

- Bo przecież oni nie uznawali spraw na tle honorowym – uzupełnił Sobański.

- Sądzisz, że nie mógł, czy raczej nie powinien, jako rzekomy proletariusz? – próbował uściślić Stan.

- No..., raczej... jedno i drugie – stwierdził niepewnie Tonio.

- Jednoznacznie oświadczam – przemówił Stan nadając głosowi przesadnie uroczystą intonację – że zgodnie z kodeksem honorowym Bożewicza, co prawda idiotycznym, ale jednak... – mógł uczestniczyć w pojedynku, ponieważ posiadał zdolność honorową, czyli miał zarówno maturę, jak i właściwe pochodzenie.

- Broniewski i pochodzenie... – zaśmiał się piskliwie Sobański.
- Sądzę, drogi Toniu, że jasność twojego widzenia zamgliło poetyckie bratanie się Władka z klasą robotniczą. On pochodzi ze szlachty.
- Stan był sekundantem podczas tego pojedynku – włączyła się Zuzanna. W jej głosie dało się wyczuć skrywaną dumę.
- Byłem przekonany, że Broniewski jest... – zasmucony urwał w pół słowa. – No to przegrałem z tobą zakład, Jarosławie... – powiedział smutno Antoni.
- Jaki zakład? – zaciekała się Zuzanna.
- Tonio i Jarosław spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się dyskretnie.
- To nasza tajemnica – rzekł Sobański.

Franciszek Czekierda